

To, co jedni nazwą kontrowersyjnością, drudzy nazwą fachowością (cz. 2)

Napisano dnia: 2017-07-16 15:36:37

Ostatnia aktualizacja dnia: 2017-07-24 17:38:10



KŁODZKO. W części drugiej trener Mariusz Sobczyk opowiada o przygodzie trenerskiej na Mazowszu, powrocie do Kłodzka, szkółce, którą otworzył czy perypetiach w Nysie Kłodzko.

Nieżyjący prezes Hutnika Warszawa Ryszard Sobiecki powiedział o panu: Nie jest sztuką zwolnić trenera, który przegrywa. Sztuką jest wyrzucić takiego, który ma sukcesy.

- Z Hutnika odszedłem do Olimpii Warszawa. Hutnikowi nie szło wówczas najlepiej. Prezes Sobiecki zaprosił mnie do klubu. Przeprosił i zaproponował lepszy kontrakt. Wróciliśmy na właściwe tory. W kolejnym sezonie, po rundzie jesiennej, mieliśmy olbrzymią przewagę punktową, mimo że graliśmy wszystkie mecze na wyjeździe. Nasze boisko było w remoncie. Runda wiosenna wydawała się formalnością. Przewaga punktowa plus wszystkie mecze u siebie. I wtedy prezes zwolnił mnie po raz drugi. Trudne do zrozumienia... To jest jakby całe moje piłkarskie życie w pigułce. Co ciekawe, przez dziesięć lat pobytu na Mazowszu, z każdym zespołem, który prowadziłem, zrobiłem awans. Brałem zespoły, które były w rozsypce. Nie chciałem, by ściągano mi najlepszych, tylko bazowałem na tym, co miałem i z tymi zawodnikami osiągałem sukcesy. Nikt jednak nie dostrzegał tego potencjału. Pan Strelau w Hutniku Warszawa, pan Broniszewski w Mazurze Karczew. Po dziesięciu latach wraz z żoną uznaliśmy, że to nie ma sensu.



Mazur Karczew
Fot. Marcin Suliga

Maciej Kędziorek, z którym pracował pan na Mazowszu, mówi: Dzięki trenerowi zdecydowałem się na pracę trenerską. Podglądanie go było bardzo inspirujące, mało który trener ma taką charyzmę, jego sposób prowadzenia zespołu twardą ręką zdał egzamin, między innymi dlatego, że większość zespołu to byli młodzi ludzie, którzy chcieli pracować i poddali się jego metodom. Wielu z nich pracuje teraz jako trenerzy i bardzo miło wspomina trenera.

- Jestem zwolennikiem ciężkiej pracy. Nie każdy ma talent, ale pracą można sporo nadrobić. Nie na miarę jakiejś superkariery, ale do solidnego grania już tak. Kwestią podstawową jest przygotowanie fizyczne. Równie ważne jest ustawienie taktyczne. Ci, którzy boją się ciężkiej pracy, zostają - w zależności od swojego talentu - na poziomie A-klasy, klasy okręgowej, czwartej ligi czy nawet ekstraklasy, gdzie mówi się o niespełnionych talentach. To kwestia braku charakteru i chęci pracy nad sobą. A dzisiaj są tak duże możliwości. Każdy zawodnik na poziomie zawodowstwa może wynająć sobie trenera przygotowania motorycznego i przygotować się znakomicie. A co słyszymy? Że zawodnicy, którzy wyjeżdżają na Zachód, nie wążają piłki przez pół roku. Biorąc pod uwagę fizjologię - czym różni się człowiek z A-klasy od tego z ekstraklasy i angielskiej ligi? Chęcią do optymalnego przygotowania. Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że moje zespoły były zawsze przygotowane optymalnie. Obowiązywały twarde reguły. Jeżeli ktoś się nie wywiązywał ze swoich zadań, po prostu nie grał.

Powiedział pan swego czasu: Jestem trenerem, a nie dyplomatą. Czy można powiedzieć, że właśnie bezkompromisowość i kontrowersyjność przeszkodziły panu w zrobieniu zdecydowanie większej kariery trenerskiej?

- To był cytat z „Przeglądu Sportowego”. Trener Strejlau kiedyś w jednej z naszych rozmów powiedział, że może powinienem być większym dyplomatą. Odpowiedziałem właśnie w ten sposób. Następna sprawa. Co to znaczy być kontrowersyjnym? W polskich realiach to znaczy wiedzieć, czego się chce. Jeżeli mam wiedzę, doświadczenie, przeszedłem przez etap zawodnika, studenta, nauczyciela i trenera, to nie mogę ulegać sugestiom prezesów, kibiców i zawodników. To, co jedni nazwą kontrowersyjnością, drudzy nazwą fachowością.

Z perspektywy czasu nie czuje pan niedosytu?

- Tak, myślę, że tak. Jako piłkarz patrzyłem na świat idealistycznie, a rzeczywistość okazała się brutalna. Teraz są menadżerowie, którzy kreują kariery, szukają piłkarzom klubów, załatwiają transfery. Po prostu pomagają. Tego mi w tamtym czasie zabrakło. Nie umiałem i nie umiem prosić o coś tylko dla siebie. Z kolei jako trener podjąłem świadomą decyzję. Nie chciałem zajmować się piłkarzami, którzy przychodzą raz w tygodniu pokopać piłkę. Niczego w tej kwestii nie żałuję.

Chciał pan uniknąć weekendowych grajków, a gdy wrócił pan do Kłodzka, to trafił od razu do A-klasowej Pogoni Duszniki Zdrój.

- Wracając do Kłodzka, założyłem sobie, że będę zajmował się wyłącznie dziećmi. Stwierdziłem, że nie ma sensu zajmować się seniorami, którzy - na dobrą sprawę - swoje życie sportowe przegrali. Jeszcze się dobrze nie rozpakowałem, a już zaproponowano mi pracę w Dusznikach. Pomyślałem, a co mi zależy, zobaczę, jak to jest. No i zobaczyłem. Wspominam ten czas bardzo miło, ponieważ spotkałem rewelacyjnych ludzi. Przychodziła jednak zima, część z tych chłopców jest instruktorami narciarstwa i frekwencja na treningach była kiepska. A jak była kiepska, to jak można grać. Siłą rzeczy musiałem zrezygnować ze swoich aspiracji, zaakceptować taką sytuację i dostosować się do niej. Do dzisiaj mam z tymi ludźmi dobry kontakt.

Następnie była Polonia Bystrzyca Kłodzka.

- W Bystrzycy były aspiracje i byli utalentowani chłopcy, którzy w dłuższej perspektywie mogli coś w piłce osiągnąć. Między innymi Konrad Matusik czy Arek Pławiak. Arka w pewnym momencie musiałem odsunąć od drużyny, ponieważ zupełnie nie zdawał sobie sprawy ze skali swojego talentu. Raziła jego niesystematyczność. Zarówno z Konradem, jak i Arkiem odbyłem poważną rozmowę o tym, co mogą osiągnąć. Dzisiaj widzę, że się nie pomyliłem. Wybrali tę łatwiejszą drogę. Ostatnio spotkałem Arka. Porozmawialiśmy chwilę. Jest w wojsku, dorabia przy dachach.

W końcu przejął pan schedę po Pawle Adamczyk w Nysie Kłodzko, z którą spadł pan z czwartej ligi. Mówił pan wówczas: Staramy się, walczymy, próbujemy, ale w niczym to nie przypomina piłki nożnej, w jaką ja bym chciał grać, ale mam takich wykonawców, jakich mam. Jeżeli ja mam uczyć zawodników przyjęcia piłki, podania, wyjścia na pozycje...

- Przypisywanie mi spadku jest dalekie od prawdy. Sytuacja, w jakiej zastałem tę drużynę, była fatalna. Trener Adamczyk zostawił zespół na miejscu spadkowym. Co więcej, odchodząc, zabrał za sobą kilku zawodników. Uważam, że z tym zlepkim, który miałem do dyspozycji, zrobiłem to, co mogłem. Nie czuję, że ten zespół spadł na skutek mojej niewłaściwej pracy. Uważam, że piłkarze byli bardzo dobrze

przygotowani fizycznie. Popełniali jednak błędy taktyczne, traciliśmy kuriozalne bramki. Skala talentu nie pozwoliła osiągnąć więcej. Pragnę zaznaczyć, że praktycznie w każdym meczu mieliśmy więcej sytuacji bramkowych od przeciwnika, ale trzeba umieć kopnąć piłkę do bramki. Mieliśmy z tym problem. Zarzucano mi, że wziąłem z Bystrzycy Paprockiego, a ten Paprocki i tak zdobył najwięcej bramek, a gdyby wykorzystał przynajmniej połowę swoich okazji, to utrzymalibyśmy się w lidze. Jestem zdania, że odpowiedzialny za ten stan rzeczy był przede wszystkim trener Adamczyk. Bo jeżeli trenował zespół ze swojego rodzinnego miasta i odszedł, to powinien trenować tam zawodników, których zastał, a nie zabierać tych, którzy i tak byli na miejscu spadkowym. Później zrobił to raz jeszcze, gdy szedł do Bystrzycy Kłodzkiej. Próbował również, idąc do Iskry Jaskowa Dolna. Niech każdy sobie teraz wyrobi opinię, jak kto pracuje i jak chce osiągać sukcesy. A jeszcze nie tak dawno Broniszewski - tuba propagandowa Nisy - robił z Pawła ikonę klubu. Dodam, że prezes Kluk chciał, żebym pozostał na stanowisku trenera, ale uznałem, że to strata czasu. Bo co z tego, że ja mogę być pięć czy sześć razy w tygodniu, jak zawodnik może być trzy. Była też grupa zawodników, która poddała się po dwóch pierwszych, zimowych treningach. Nie chciałem tego kontynuować.

Nysa to jednak pana klub. Nie chciałby pan wrócić?

- Sam klub cenię i szanuję. Klub to jednak ludzie. W takiej otocze, jaka wytworzyła się kilka lat temu, to nie widzę tam swojej osoby. Formuła, jaką swego czasu zaproponowali Perczyński, Adamczyk, Bachmatiuk była dla mnie nie do przyjęcia. Do dzisiaj Nysa zbiera tego owoce. Jak się okazuje, droga, którą obrali, czyli krótkotrwałego sukcesu, polegającego na chodzeniu po domach i wyrywaniu utalentowanych dzieci nie zdała egzaminu. Najpierw sam coś wychowaj, pokaż, że coś potrafisz, a dopiero później oceniaj innych. I tak zupełnie niepotrzebnie wytworzyło się takie kłodzkie piekielko.

Kłodzkie piekielko?

- Tak, i to w dużej mierze przez Perczyńskiego, który dzięki mojej pomocy został prezesem klubu. Niektórym może nie mieścić się w głowie, jak to się stało, że ja będąc prezesem i trenerem Orlika Kłodzko, zostałem jednocześnie trenerem trampkarzy Nisy. Ci, którzy na każdym kroku na mnie pomstowali, nagle wpadli w popłoch, byli przerażeni, ponieważ rodzice tych chłopców przyszli do mnie po pomoc, mówiąc, że klub ich cały czas zwodzi. Zaproponowałem im stworzenie klasy sportowej w Gimnazjum nr 1 w Kłodzku, w którym jestem nauczycielem. Podobno prezes Kluk się sprzeciwiał. Sugerował nawet, że zorganizuje busa, który będzie dowoził dzieci do „siódemki”. Byle tylko nie trenował ich Sobczyk. Następnie doszło do spotkania z burmistrzem, który powiedział wprost - dam pieniądze na ten zespół, a jeżeli komuś się nie podoba, to przepiszę tych chłopców do pana. Nie zgodziłem się na to, ale nikt o tym nie mówi.

W Kłodzku ewidentnie jest problem.

- Problem mają ci, którzy sobie z tym nie mogą poradzić. Ja sobie radzę. Dla dobra dzieci nie przeszkadzało mi to, aby zadbać o halę, by pojechali latem na obóz, by zmobilizować rodziców, dać z siebie wszystko, by zapewnić tym chłopcom właściwy rozwój. Co o tych chłopcach mogą powiedzieć pan Perczyński, Adamczyk, Bachmatiuk, Broniszewski? Że to wyjątkowo utalentowany rocznik? Czy Nysa Kłodzko dałaby im szansę bez Sobczyka, aby pokazali się na Dolnym Śląsku jako drużyna? Mało tego, u pana burmistrza powiedziałem kiedyś, że nie będę współpracował z prezesem Klukiem. Mimo że to był mój sąsiad, znał mnie od dziecka, to kiedyś uniemożliwił mi awans z juniorami Nisy do ligi

dolnośląskiej. Obawiałem się, że i tym razem będzie stawiał opór. Powiedziałem, że jeżeli prezesem Nysy będzie ten człowiek, to ja dziękuję. Mówiliśmy sobie dzień dobry, ale nie zapomniałem o tej nierzetelności, tej niesprawiedliwości, która wtedy dotknęła nie tylko mnie, ale przede wszystkim tych chłopaków, ponieważ oni zasłużyli wtedy na grę w lidze dolnośląskiej. Na decydujące mecze zabierano mi podstawowych zawodników do pierwszej drużyny, ale tylko Tokarzewski rozegrał kilka minut. Reszta siedziała na ławce rezerwowych. Tak zmarnowano trzy lata naszej pracy. Byłem wtedy zatrudniony w Zetkampie i oddelegowany do pracy z młodzieżą. Na znak protestu zwolniłem się z pracy z dnia na dzień i zostałem... bezrobotnym. Mając to w pamięci, chciałem uniknąć podobnej sytuacji i w ten sposób doprowadziłem do spotkania z Perczyńskim i rodzicami - Kotfasem i Łazarowiczem. Powiedziałem Perczyńskiemu, żeby nie przeszkadzał i tylko wtedy będę trenował tych chłopców. Takie są kulisy rezygnacji Kluka na rzecz Perczyńskiego z funkcji prezesa Nysy.

Pomimo tych trudności ten zespół w mgnieniu oka stał się wizytówką klubu. Pana podopieczni zdobyli najpierw wicemistrzostwo Dolnego Śląska trampkarzy, a następnie z powodzeniem rywalizowali na poziomie juniorów młodszych.

- Pewne kwestie należy usystematyzować. To przede wszystkim zasługa trenera Markiewicza. On ich wychował, nauczył podstaw, które były bardzo mocne. To nie jest tak, że wziął ich Sobczyk i oni zaczęli grać. Ta drużyna w naszym regionie wygrywała wszystko i zaczęła się tutaj dusić. Znakomita grupa, choć nieliczna, ale kochająca piłkę. Pomimo wielu trudności zorganizowałem klasę sportową. Stworzyłem specjalny program w oparciu o Polski Związek Piłki Nożnej, który pani dyrektor odrzuciła, twierdząc, że jest niewłaściwy. Koniec końców okazał się właściwy, klasa powstała i była to jedyna klasa sportowa z prawdziwego zdarzenia w Kłodzku. Trenowaliśmy dwa razy dziennie. Rano w szkole, po obiedzie w klubie. Dzięki temu sportowo awansowaliśmy do ligi dolnośląskiej i gdyby nie dwa-trzy mecze, w których graliśmy bez bramkarza, to wygralibyśmy tę ligę.

Odkrywa pan wiele tajemnic...

- Dlatego niektórzy mówią, że jestem kontrowersyjny. Jasne, przejrzyste zasady - tego się trzymam. Gdyby nie było jasnych, przejrzystych zasad, to Patrycja Michalczyk nigdy nie zagrałaby na takim poziomie, jakim gra. Gdy przychodziła do gimnazjum, to ledwie słała się na nogach. Był czas, że płakała na treningach, ale mi zaufała i wygrała dla siebie przyszłość.

Poruszył pan ważną kwestię. Czy oprócz Patrycji Michalczyk któryś z zawodników z tamtego zespołu ma szansę zaistnieć w poważnej piłce?

- Trzeba zapytać się tych chłopców, dlaczego się nie przebijają. Od siebie powiem tyle - nie przebijają się, ponieważ nigdy już tak nie trenowali, jak w Kłodzku. Pokazałem im, jak badać własny organizm, jakie są zasady żywienia. Zrobiłem wiele, aby ci chłopcy zostali w Kłodzku. Uważałem, że potrzebują jeszcze 2-3 lat, aby osiągnąć taki poziom sportowy, poniżej którego już nie zejda w przyszłości, ustabilizować wszystkie parametry na wysokim poziomie. Udało mi się nawet stworzyć dla nich klasę w kłodzkiej „Budowlance”. Poszli jednak gdzie indziej, do innych klubów. I dzisiaj Łazarowicza trapią kontuzje, Kotfas ma kłopoty z sercem, a Doręgowski zszedł na złą drogę. Staram mu się pomagać, ale to wszystko, co mogę zrobić. Zawsze powtarzam, że można być profesjonalistą w A-klasie i amatorem w ekstraklasie. Tu dochodzimy do sedna sprawy. Trzeba mieć szczęście, aby trafić na dobrego trenera. Nie do dobrego klubu, ponieważ to żaden problem. To nie kluby tworzą piłkarzy, tylko trenerzy. I tak

wychowankami Nisy są Adamczyk, Sobczyk, Zajac czy Dankowski. Nie Górnika Wałbrzych czy Śląska Wrocław. Jesteśmy wychowankami trenera Babińskiego czy - w przypadku Dankowskiego - Markiewicza.



Nysa Kłodzko, 2012 r., zespół trampkarzy

Kamila Dankowskiego trenował pan indywidualnie.

- Kiedyś jego ojciec poprosił mnie pomoc. Myślę, że nie żałuje. Kamila cechuje olbrzymia pracowitość i to, co miałem mu do przekazania, to przekazałem. Wskazałem mu drogę, którą powinien podążać. Pokazałem, co mu jest potrzebne na poszczególnych etapach przygotowania. Zwróciłem uwagę na niuanse. Na koniec powiedziałem: Jak będziesz mądry i będziesz chciał z tego korzystać, to wystarczy.

Osiadł pan w Kłodzku. Tutaj pracuje pan w szkole, tutaj prowadzi pan własną szkółkę piłkarską.

- Gdy wróciłem do Kłodzka, to poszedłem do ówczesnego prezesa Nisy, Sławka Ściebury, i zaproponowałem mu założenie szkółki przy klubie na określonych zasadach. Powiedziałem, że zapewnię wyszkolenie zawodników, rodzice będą partycypowali w wydatkach, a ja zapracuję na pensję. Przedstawiłem koncepcję. Usłyszałem, że to się nie uda. Myślę, że bardzo źle się stało, ponieważ dzisiaj Nysa Kłodzko mogłaby być jednym z najlepszych klubów szkolących młodzież na całym Dolnym Śląsku. Wtedy doszedłem do wniosku, że założę własną szkółkę i tak powstał Orlik Kłodzko.

W której trenuje pan młodszego syna Kacpra.

- Wiele rozmawiam z Kacprem o tym, żeby zrozumiał, że talent musi być poparty pracą. Jednak nie mogę zamienić się z ojca tylko w trenera i ciągle go trenować. Bo i tak, na skutek tego, te relacje zostały nadszarpnięte. Staram się pokazać drogę. Jest bardzo młody. Wchodzi w tzw. trudny wiek. Taki młody wilczek. Jest to czas poszukiwania swojej tożsamości z prawem wyboru. Sportowo to już jest ten czas, żeby chcieć więcej. Mieć świadomość, że nie wystarcza tylko trening, że chce się umieć więcej i więcej. W wieku osiemnastu lat musi być ukształtowany przede wszystkim mentalnie. Musi być odpowiedzialny. Trudna sprawa...

Ma pan również starszego syna Adriana. Grał, podobnie jak pan, w Górniku Wałbrzych. Kariery jednak nie zrobił.

- Adrian miał to nieszczęście, co ja. W moim przypadku była to transformacja ustrojowa, a w jego przypadku transformacja życia osobistego jego rodziców. Rozwiedliśmy się, a Adrian został w trudnym wieku sam ze sobą. Próbowałem to później ratować, będąc w Warszawie, gdzie się pojawił. Gdy on jednak przyszedł, to mnie zwolniono z Hutnika. Jak mnie ponownie zatrudniono w Warszawie, to on już miał problemy w szkole. Miał duży talent, ale zabrakło mu tego drugiego pierwiastka, czyli męskiego wychowania. Dzisiaj jesteśmy ze sobą blisko.

Kończąc - możliwe jest, aby pan kiedyś wrócił do Nysy?

- Muszą się zmienić ludzie, bo to nie jest Nysa, jaką ja pamiętam. Otworzyłem swoją szkółkę. Pracuję z Robertem Piątkiewiczem. Było wielu kandydatów, ale wybrałem jego, bo kocha to, co robi. Tak jak ja. Na tym się skupiamy. Co do Nysy - gdybym otrzymywał taką dotację, jak Nysa, miałbym szansę udowodnić, jak powinno się zarządzać klubem sportowym. Nysa zastępuje na profesjonalizm...

To chociaż współpraca na linii Orlik - Nysa?

- Trudno zasypać dół, jaki wykopano za czasów Perczyńskiego i Adamczyka. Trzeba jednak powiedzieć, że Bogdan Bachmatiuk zrozumiał, iż droga poprzednika prowadzi tylko do konfliktów. Powiem tak. Rozmawiamy, a jest to już dużo. Nie ma problemu ze sprawami technicznymi typu: dopasowanie terminarzy rozgrywek, wykorzystanie boisk, przesunięcia treningów. Wielu wychowanków Orlika gra czy grało w drużynie juniorów Nysy (Gałka, Gębski, Krawczak, Kubies, Kusa, Pasternak, Wawryniuk), o czym niewiele wie. Są jednak sprawy, nad którymi jeszcze trzeba popracować. Chociażby przepływ zawodników z klubu do klubu. Moim zdaniem musi odbywać się to z poszanowaniem interesów klubu macierzystego, który wychował danego zawodnika. Tutaj mam zastrzeżenia do Nysy, o czym rozmawiamy z Bogdanem Bachmatiukiem. Ufam, że rozumie zagrożenia.

Dziękuję za rozmowę
Maciej Pawłowski